

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 50.

CHICAGO, 12-go GRUDNIA (DECEMBER 12-th), 1907.

ROK (Year) VII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER

Z I M A

Nasza zima biała,
Chustą się odziała,
Idzie, idzie do nas w gości,
W srebrnych blaskach cała!

Idzie martwą nogą,
Wyiskrzoną drogą,
Postanęły rzeki modre,
Do morza nie mogą.



Włożyła na czoło,
Księżycowe koło,
Lecą z płaszcza gwiazdy złote,
Gdy potrząśnie połą.

Z lodu berło trzyma,
Tehu, ni głosu niema,
Idzie, idzie, smutna eicha,
Ta królowa zima!

Gdzie stąpi, gdzie stanie,
Słysząc narzekanie:
— Oj biedne my kwiaty, trawy,
Co się z nami stanie!

Przed nią tuman leci,
Straszy małe dzieci...
A my dalej do komina:
— Nie puścim waszeci!

Marya Konopnicka.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy).

NA MIELIŹNIE.

Była to już jedenasta doba podróży i dla nas owo święto Neptuna miało i to miłe znaczenie, że zapowiadało nam bliski koniec morskiej przeprawy. Jakoż w dwa dni potem ujrzeliśmy jakby złotą gorącą plamę na błękitie wód, wyspę Pembę, leżącą nad 15 stopniem szerokości południowej. Moglibyśmy byli jeszcze w nocy przybyć do Zanzibaru, statek jednak nie mając wielkiej latarni elektrycznej, nie może zapuszczać się wśród ciemności w kanał oddzielający Pembę i Zanzibar od stałego lądu, pełen mielizn i raf koralowych. Wskutek tego mamy krążyć aż do rana na wschód od wysp, po stronie pełnego morza.

Na godzinę przed zachodem tracimy z oczu Pembę. Czuć jednak bliskość ziemi. Mewy otaczają na nowo statek, a wieczorem nadlatują rojnie wielkie muchy. Mówią i o moskitach, ale ich nie widzę i nie czuję. Natomiast robi się bardzo duszno, a powietrze przesycone jest gorącą wilgocią, która osiada na ubraniu na poręczach i podłodze statku, tak, że wszystko jest mokre. W kabinach trudno jest wytrzymać, a jednak trzeba tam zejść, aby zapakować manatki. Po załatwieniu tej czynności wyszedłem znów na pokład i dowiaduję się, że wbrew pierwotnemu zamiarowi wjechaliśmy w kanał.

Koło jedenastej w nocy dojrzeliliśmy wdali, po lewej stronie statku trzy światła, jakoby zawieszone w powietrzu. Oficer służbowy powiada nam, że to Zanzibar. A zatem jutro będziemy w Zanzibarze. Nie rozumiem wprawdzie, co będziemy robili całą noc na kanale, ale mniejsza o to. Ruch śruby zwolnił i poczęliśmy się zlekka kołysać na oświeconej sieniem księżycą wodzie. Tak zeszło aż do pierwszej godziny po północy. Siedząc na swem płóciennym, podróżnym krześle na pokładzie, jałem już nieco drzemać, gdy wtem zbudziło mnie lekkie wstrząśnienie. Na przodzie okrętu uczynił się nadzwyczajny ruch; spostrzegłem jednego z oficerów biegnącego prędko ku przerzutce. Co się stało? Oto z powodu jakiegoś niezapalonego światła na wyspie, nie rozeznano dokładnie położenia miejsca, statek zboczył z głębokiej wody i uderzył przodem o mieliznę. Stanęliśmy odrazu, jak ujęci w kleszcze. Śruba napróżno usiłowała nas cofnąć, choć obroty jej pod zwiększonym ciśnieniem pary stawały się tak szybkie, że wszystkie deski statku drżały, poczem nastała cisza zupełna, dziwna dla uszu, przywykłych do ustawicznego odgłosu maszyny; słyszał było tylko bełkotanie spokojnej fali, przesuwał się wzdłuż ścian okrętowych. Na całym statku nikt

nie spał. Dowiedzieliśmy się, że wstrząśnione, któreśmy zaledwie odczuli w pierwszej klasie, było na przodzie statku tak silne, że ludzie powylatywali z łóżek. Kapitan kazał spuścić jedną ze szalup, aby się przekonać, jak głęboko przód statku zagrzeź w piasku. Okazało się, że na dziesięć stóp, to jest, nie tak głęboko, aby nas najwyższy przypływ nie mógł znieść. Pozostawało tylko czekać cierpliwie i czekaliśmy aż do świtu. W chwili wreszcie, gdy przypływ dosięgnął najwyższej swej wysokości i począł podnosić statek, śruba rzuciła się znów z zaciekleścią do roboty i dzięki tej spółce spłynęliśmy z łatwością.

WSPANIAŁY WIDOK NA ZANZIBAR.

Już też pobierało na świecie, gdy nas woda zniosła z mielizny. Niebawem ukazało się słońce z pod wody tak prędko, jak cudowny obraz, gdy rozsuną przed nim firanki i cały widnokrąg zajaśniał. W dali, za zwierciadłem wód, szarzał wydłużony i wysoki ląd — Zanzibar!

W ciągu godziny zbliżyliśmy się do niego tak, że odległość od niego nie wynosiła więcej nad kilka set metrów, i poczęliśmy się posuwać wzdłuż wyspy. I co za widok! To już nie obumarłe wzgórza Suez, nie sprężone żywym ogniem skały Adenu, nie groźne wiszary przylądka Guardafui; to inna zupełnie okolica, prawdziwie podzwrotnikowa, jeden las, jedno morze zieloności, zbitej jak mur, nad który wyskakują wspaniałe pióropusze kokosów, czasem pojedynczo, czasem w całych kępach, rysując się na niebie niezmiennie czysto. Jak okiem sięgnąć, widać tę ogzotyczną potęgę roślinności. Miejscami las spływa aż do brzegu morza. Drzewa odbijają się w lustrzanej szybie, tworząc drugi las w głębinie i ciemne plamy na złotej wodzie. Czasem z mrocznego lasu wychylają się białe ściany samotnych domów. Jesteśmy jeszcze bliżej. Przez teatralne szkła rozróżniam rozmaite, nieznane mi drzewa.

Uwagę moją zwracają szczególnie kokosy i inne olbrzymy roślinne, z ogólnego zarysu do naszych lip podobne, jeno większe, ciemniejsze i rozłożystsze. Mówią mi, że to są drzewa mango, wydające najlepszy owoc podzwrotnikowych krajów. Nie wiem, na co patrzeć mam, a co pominąć, bo oto obok statku przesuwa się gromadka dużych piróg murzyńskich z pławicami. Owe pławice są to deski osadzone z obu boków łódek na wygiętych bambusach i utrzymujące statek w równowadze. W pirogach siedzą krajowcy czekoladowego koloru, ciągnąc za sobą półkolem sieci. Opodal przeglądają się w lazurze ciężkie dany arabskie, z białymi i czerwonymi żaglami. Zwracam oczy napowrót na brzeg. Gdzieś tam, wśród ciemnego lasu, widać jasno zielone plantacye bananów, których olbrzymie li-

ście rozeznają z łatwością przez szkła; tam znów gaje piramidalnych, wysmukłych drzewek. Kapitan powiada, że to są pola gwoździkowe. Domy wznoszą się coraz gęściej, wreszcie brzeg wygina się w obszerną zatokę — to już port i miasto.

WJAZD DO PORTU.

Wjeżdżamy. Miasto zdala wydaje się wspaniałem, a przynajmniej bardzo malowniczym. Jasne mury domów i pałacu sułtańskiego piętrzą się wysoko nad wodą. Bliżej nas stoi w porcie kilkanaście większych parowców i kilka pancerników angielskich i niemieckich, łatwych do rozpoznania po białym kolorze ścian i twardych liniach burt. Nasz „Bundesrath” zwalnia; przez jakiś czas posuwa się jeszcze łagodnie ku miastu, wreszcie staje. Liczne łodzie, pełne krajowców zbliżają się do nas na wyścigi. W niektórych widać białą przybranych Europejczyków, kierujących rudlęm. Są to Niemcy, którzy śpieszą, by powitać krewnych, znajomych, a może tylko dlatego, by stanąć nogą na niemieckim pokładzie i mieć przez chwilę złudzenie dalekiej ojczyzny; wchodzą też na pokład z gorączkowym pośpiechem, za nimi wstępują urzędnicy, tragarze-krajowcy i poczyną się zwykły rozgardyasz chwili przybycia, złożony z powitań, nawoływań, głośniejszych rozkazów, klątw, krętaniny, zgrzytania łańcuchów.

Ponieważ trzeba jeszcze czekać na wydobycie kufrów z wnętrza okrętu na pokład, więc przez ten czas czynię spostrzeżenia nad przybyłymi z miasta Niemcami. Wszyscy ci ludzie noszą poprostu śmierć w twarzy! Febra i anemia wycisnęły na nich złowrogą swą pieczęć. Chodzą, witają się, nawołują, radość świeci im tak wyraźnie w oczach z powodu przybycia niemieckiego parowca, że aż są wzruszający; ale wyglądają, jak rekonwalescenci po ciężkiej chorobie. My jesteśmy tak zgorzeli od słońca i wiatru morskiego, że cerą mało różnimy się od tych Suahilisów, którzy tam wrzeszczą u stóp okrętu — ich czoła, policzki i nosy są jakby z wosku. Pomyślałbyś, że mieszkają stale pod ziemią i że ani świeże powiewy, ani promienie słońca nigdy do nich nie dochodzą. Ale to właśnie słońce wyssysa z nich krew. Widocznie jednak źle jest mieszkać białym ludziom w tej cieplarni, która tak nęciła nas z morza zielonością i wybujałemi kiściami kokosów.

Po dłuższym pobycie, twarze te nie czynią już takiego wrażenia, może dlatego, że człowiek sam zapada na bezkrwistość, a może dlatego, że oko się przyzwyczaja; ale w pierwszej chwili mimowoli zadałem sobie pytanie, poco ci ludzie opuszczają domowe pielesze i czego szukają w tych zabójczych klimatach, skoro nad wszystkimi ich zabiegam, nawet szczęśliwymi, wisi rzecz tak sprowadzająca je do nicości i niepowrotna, jak śmierć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JÓZEF GRAJNERT.

ŻYCIE ZA WIARĘ.

Opowieść przeszłości.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV.

Z Nicei odesłał Konrad przez Konstantynopol do Niemiec większą część pozostałego wojska, sam zaś z resztkami swych wojowników przyłączył się do króla Ludwika. Na barki więc tegoż, a w części i naszych wojaków spadł teraz główny ciężar tej krwawej wyprawy.

Przez Smyrnę, położoną nad morzem Egejskiem, pociągnęły siły połączone do Efezu, blisko tegoż morza położonego, trzymając się zdala od krain zawojowanych już przez Turków. Tu wynikły nieporozumienia między ludźmi obcych narodów. Konrad, niezadowolony z postępowania swoich podkomendnych, czując się obok tego niezdrowym, rozstał się z Francuzami w Efezie i powrócił okrętem do Konstantynopola, aby tam przepędzić zimę, która tutaj w tych nadmorskich krainach południa, odznacza się zwykle ciągłemi deszczami.

Niemcom swom pozwolił Konrad udać się do Palestyny, jak się komu podobało, a na przyszły rok miał objąć nad nimi dowództwo, kiedy już nadciągną z niższych Niemiec oddziały, których się spodziewano. W Konstantynopolu szwagier jego, Manuel, pogodził się z nim i przyjął go teraz nader uprzejmie.

Ale mniejsza o niego. Nam tu idzie o śledzenie dalszego pochodów naszych polskich krzyżowców, którzy wraz z niedobitkami niemieckimi, zostawali teraz pod naczelnem dowództwem samego króla Ludwika.

Pod wodzą jego wyruszyli wszyscy z Efezu na południe, do starej Pamfilii. Nasi trzymali straż tylną całej armii, według rozkazu króla. Kraina Pamfilii dotyka jeszcze morza Egejskiego; przerniętą od południa i wschodu górami Taurus, sąsiadowała z ziemią Ikońską, zawojowaną przez Turków. Tu jeszcze nie spotkano nieprzyjaciela, choć już kilka tygodni maszerowano.

Ale niezadługo przypadł postój armii w kraju Meandrow, blisko rzeki tegoż nazwiska. Noc zapadła. Rozstawiono strażę dokoła obozu. Naszym rozdano bębny, aby w razie napadu nieprzyjaciela na tyły armii zrobiono niemi alarm, a wiadomo, że broń palną w one czasy jeszcze nie znano. Były bowiem poszlaki, że nieprzyjaciel czyha w okolicy, a drużyna nasza oprócz surm wojennych nie posiadała kotła lub bębna.

Przy zmianie nocnej straży wypadła kolej na Zabałasa obchodzenia obozowiska na tyłach z obna-

żonym mieczem w dłoni i z włócznią w drugiej; dodano mu jeszcze dobosza. Róg księżycowy rzucał światło niepewne z pod lisiej czapki na okolicę przesiąkniętą wilgotnymi oparami. Opodał czerniały wyniosłe góry...

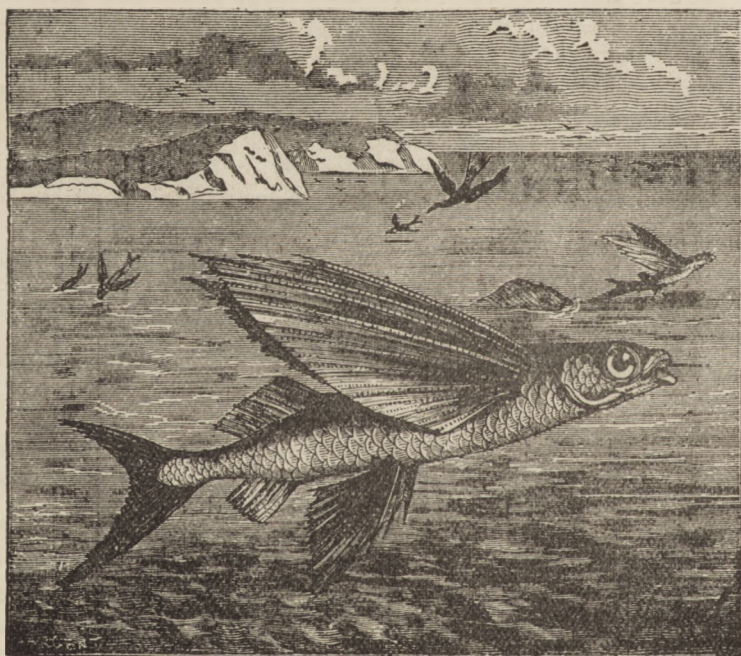
Cisza zapanowała w ogromnem obozowisku i tylko parskanie tysięcy koni ją przerywało, gdy młody wojak nadstawił bacznie ucha ku wschodniej stronie okolicy. Po chwili powstał i szepnąwszy coś do ucha doboszowi, śpiesznym krokiem poszedł do namiotu, gdzie spoczywał Goworek twardym, pierwszym snem zmorzony. Zbudził go, mówiąc:

— Mości dowódco! słyszałem głuchy tętęt wielu kopyt końskich od gór.

— Ha! zatem baczność — rzekł Goworek, zrywając się z posłania.

była już gotowa do boju. Nie udało się Turkom zająć i napaść na chrześcijan z nienacka; tem nie mniej zbliżało się ich jakiś dziesiątek tysięcy jeźdźców i z ogromnym okrzykiem: „Allah! Allah!” uderzyli na naszych, połyskując lasem dzid i krzywych pałaszy.

Nasza straż tylna stanęła teraz na przodzie do walki, do wytrzymania pierwszego natarcia zuchwanych nieprzyjaciół. Książe kazał pierwszym szeregiem nastawić dzidy, sam z obnażonym mieczem wydając rozkazy. I nasi przy okrzyku zwykłym: „Jezus, Marya! Bóg tak chce! Bóg tak chce!” uderzyli w strasliwym rozpędzie na nieprzyjaciela, kładąc wiele trupa przed sobą. Książe Henryk rąbał i siekł najbliższych swym ostrym mieczem. Goworek nie mniej mężnie się sprawiał, a junaczek Zaba-



LATAJĄCE RYBY

Wyszli obaj za obóz. Goworek nadstawił ucha, mówiąc:

— Tak, odgłos kopyt coraz więcej się zbliża...

Zatopili obaj wzrok w ciemności nocne, blado oświetlone skąpem światłem księżyca, gdy naraz obaj, ujrzeni jakby falę olbrzymią, wychylającą się z załomów górskich, jednocześnie zawołali.

— To oni! Turcy idą wprost ku nam!

Goworek kazał doboszowi walić w bęben co sił. Zawrzało w obozie jak w ulu, szum i zgiełk mieszał się z głośnemi nawoływaniem. Przyskoczyło kilku dowódców francuskich ku tylnej straży, zamienili nieco słów z Goworkiem i Zabałasem i natychmiast w głąb obozu pomknęli. Ci dwaj już byli na koniach i cała drużyna polska z księciem Henrykiem i Goworkiem na czele, w kilka pacierzy

łás także nie próżnował. Gdy mu się włócznia na stalowych pancerzach tureckich skruszyła, mieczykiem swoim zrzucił z konia kilku jeźdźców nieprzyjacielskich. Wogóle wszyscy nasi w tem starciu, jak lwy walczyli.

Nadbiegły też z kilku stron hufce Francuzów i Niemców, uderzono z boku przy strasznym okrzykach i wkrótce tłumy Turków jak prędko przypały, tak jeszcze prędzej pierzchnęły. W pościgu wzięli im kilkuset jeńców tak sprzymierzeńcy, jak i nasi do niewoli i zaraz nazajutrz odesłano ich, bezoreźnych do najbliższego miasta greckiego, Magnyzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Węgielek, słomka i groszek.

Żyła raz babulka
 Ubożuchna srodze —
 Miała małą chatkę
 Przy wioskowej drodze.
 Oj, bywało nieraz
 Cały dzionek minie,
 A ona kęs chleba
 Spożyje jedynie.
 To też raz, gdy sąsiad
 Dał jej grochu nieco,
 Babulce z uciechy
 Aż łyzy z oczu leca.
 Wnet rozpala ogień,
 Dokłada doń słomy
 I na garnek z wodą
 Zwraca wzrok łakomy.
 Potem bierze groszek,
 Do wody go ciska.
 Będzie wnet grochówki
 Doskonała miska.
 Nie wiedziała babka,
 Że z jej drżących dłoni,
 Chcąc uniknąć śmierci
 W wrzącej wodnej toni...
 Wysunął się groszek,
 Upadł na podłogę.
 Tu mu złota słomka
 Zastąpiła drogę.
 — Gdzie się toczysz groszku?
 — Ach, słomko jedyna!
 Chciała mnie w ukropie
 Pogrążyć babina!
 Ledwie przysł; lecz moi
 Braciszkuwie mali
 Pewnie się tam w wodzie
 Już rozgotowali!
 — Ach, jabym miała
 Podobną przygodę!
 Z tą tylko różnicą,
 Że w ogień, nie w wodę

Chciała mnie wpakować!
 Ach, to czarownica!
 Któż to kiedy słomą
 Płomienie podsycą!
 Gdy tak gwarzą, nagle
 Pss!... z głębi komina
 Węgielka czarnego
 Wyskoczy kruszyna.
 Szybko się po ziemi
 Zatoczy dokoła
 I sypiąc iskrami
 Jak gdyby zawoła:
 — O mało, że mi się,
 Groszku, słomko miła,
 Czarna ma sukienka
 Na nic nie spaliła!
 Zostałoby po mnie
 Ot, popoiołu nieco.
 Już nawet iskiereki
 — I myśmy też tyko
 Trafem ocalały.
 Ja od tych płomieni,
 Od wody groch mały.
 — Obrzydliwa baba!
 Chodźmy stąd co żywo,
 Bo nas jeszcze w komin
 Rzuci na paliwo.
 — Pyszna rada! Pójdźmy
 Hen, tam... w świat daleki,
 Za szumiące bory,
 Za spienione rzeki.
 Stało się, jak rzekli.
 Wyszli za próg chaty
 I ścieżyną polną,
 Między trawy, kwiaty.
 Poszli po przez błonie.
 Naprzód słomka złota,
 Potem groch, na końcu
 Węgielek — sierota.
 Idą, idą, idą...
 Aż pod koniec dzionka,

Gdy na niebie zbłądły
 Jasne blaski słomka
 Znaleźli się nasi
 Znajomi w dolinie.
 Tu ujrzeli strumyk,
 Który szumiąc płynie
 Wśród łąki i wpada
 Pod lasem do rzeki.
 — Ho-ho! tośmy uszli —
 Kawał dziś daleki!
 Teraz przez ten strumyk
 Przebrnąć nam wypada.
 — Przez strumyk! Węgielku,
 Jakaż na to rada?
 Wszak słyszysz, jak huczy,
 Z jakim szumem płynie!...
 Potoniemy wszyscy
 W tej wodnej głębinie!
 — Mostu tu nie widać,
 Kładki ani znaku!
 Możeby przepłynąć
 Na rybce? na raku?
 — Ach znalazłam sposób!
 Będziecie mieć oto
 Ze mnie most wspaniały!
 Służę wam z ochotą.
 I to mówiąc, słomka
 Legła wszecz strumyka.
 Najpierw imię węgielek
 Po moście przemuka.
 Już dochodzi brzegu,
 Nagle, stanął nieco,
 Wpatrzył się, jak fale
 Z szumem, z gwarem leca.
 Nie spostrzegł, że iskra,
 Co w nim jeszcze płonie
 Przepala wskroś słomkę!
 Buch! i wpadli w tonie!
 Wzdycha mały groszek,
 Widząc tą przygodę!
 Z rozżalania biedak
 Potoczył się w wodę.

DOBRA ODPOWIEDŹ.

Pewna panienska bardzo niezgodna, zawsze sprzeciwiająca się wszystkiemu, w każdym zdarzeniu mająca sprzeczne zdanie z innymi, zapytała raz brata starszego:

— Mój braciszku, powiedz mi, co to jest polityka hakatystyczna, o której tak często słyszę?

— Będę się starał rzecz tę jak najjaśniej wytłumaczyć, dlatego obszernie rozwiodę się...

— To już dziękuję ci, bo obszernych wywodów nie lubię, przerwała panienska.

— Ale tu jest koniecznem.

— Nie zgadzam się na to zdanie.

— Więc ci powiem krótko, że polityka hakatystyczna jest tem, czem ty jesteś w domu: wieczną sprzeczką i niezgodnicą.

— Otóż, mylisz się, odrzekła panienska, troszkę rumieniąc się a troszkę uśmiechając, bo zgadzam się na twoje zdanie i uznaję je za dość trafne.

Co tu na większą zasługuje nochwale, czy dowcip brata, czy grzeczne przyjęcie słusznie zrobionej uwagi?

PIERWSZA OFIARA PROCHU.

— Ojcie Bartoldzie, ksiądz przeor woła was do siebie — mówił braciszek, Piotr, z klasztoru Franciszkanów, wchodząc do celi zakonnika.

— Idę — odpowiedział — tylko spalę ten papier i umyję ręce, bo posmoliłem je węglem, sypiąc razem ze siarką i saletrą do moździerza. A ty tu poco — zawołał odpędzając kraciastą chustką kota, zagląającego w naczynie — gotów przewracać wszystko — i to mówiąc stary zakonnik przykrył moździerz kamieniem, a podarty papier rzucił do kominka, na którym silny płonął ogień.

— Pilnuj roboty — powiedział potem do kota i wyszedł na korytarz klasztorny.

Ale nie doszedł jeszcze do mieszkania przeora, gdy gwałtowny hałas dał się słyszeć w jego własnej celi, drzwi od niej zatrzęsły się w zawiasach, a okienkiem buchnął cuchnący dym.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał przerażony braciszek — to ten kot szkaradny, jemu zawsze źle z oczów patrzyło, czułem ci ja, że to nic dobrego, tylko wy, ojcie Bartoldzie wierzyć takim rzeczom nie chcecie.

I mrucał Piotr, ale jakie było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do celi, zastał kota rozciągniętego i bez życia, obok niego leżał kamień. W celi panował ogromny nieład, moździerz potoczył się pod ścianę, z półek pospadały książki, a olej z wywróconej lampki ciekł po podłodze.

Bartold podniósł kota.

— Widzisz, biedak niewinny, żal mi go bardzo, ale jakim sposobem stać się to mogło i gdzie po diał się węgiel, saletra i siarka?

Mówił to, oglądając moździerz, na spodzie którego nie było nic, prócz kawałka niedopalonego papieru.

Cela napełniła się tymczasem zakonnikami, pytali z przerażeniem, co mogło być przyczyną huku i dymu.

Bartold opowiedział swoim braciom, że przygotowywał właśnie mieszankę z siarki, węgla i saletry, kiedy stał się wypadek, którego sam nie zrozumiał.

— Papier spalony mógł się dostać do moździerza z komina, bo kamień nie przykrywał dobrze otworu, ale jakim sposobem zniknęła moja masa i kto odwalił kamień, co z takim hukiem zabił kota?

Nagle błysnęła mu myśl.

Zawinął trochę pozostałej na stole masy w papier i wrzucił ją w ogień.

— A to co znowu — zawołał braciszek Piotr, bo w kominie huknęło i dym rozszedł się na nowo.

— Zburzymy klasztorny mur — zawołał teraz

z radością Bartold Szwarz — moja masa robi to bez pomocy kilofa i motyki.

I tak się też stało, na dziedzińcu wznosiła się stara baszta, siedlisko szczurów, dawno chciano ją rozwalić, ale praca była ciężka, odkładano więc wykonanie jej na później.

Usmolony od węgla brat Bartold, rozkruszył z łatwością kamienną budowę, podłożywszy pod nią pudełko swojej masy, które posypał węglami.

Całe zgromadzenie przypatrywało się doświadczeniu, przesądny braciszek napróżno spluwaniem odpędzał dyabła, proch był wynaleziony.

Pierwszą ofiarą wynalazku był kot, ale od tego czasu iluż nieszczęść stał się ten wynalazek sprawcą! Niezapominajmy jednak, że proch także przebił drogi przez nieskruszone ludzką ręką skały, że broń słabego od przemocy naptstnika, i że dopomaga człowiekowi do wytopienia dzikich, drapieżnych zwierząt.

DOBRY SYN.

Lat temu przeszło sto odbywał się przegląd wojska polskiego, na Placu Saskim w Warszawie.

Wojsko maszerowało składnie i czyniło zręczne zwroty przy dźwiękach muzyki. Wódz naczelny i świta jego siedzieli na koniach.

W pewnem oddaleniu stała gromada ludzi, przyglądających się ciekawie paradzie wojskowej. Wśród nich znajdował się jakiś włościanin podżyły, odziany w chłopską siermięgę. Nie spuszczał oka ani na chwilę z jednego młodego oficera i oczy łą rzewną zalane ocierał raz poraz rękawem.

Nareszcie przegląd się skończył; wojsko łamiąc się w rzędy pomniejszych, wolno szło do koszar. Wódz pozostał na placu, rozmawiając ze świtą. Wtedy ów młody oficer podbiegł ku podżyłemu wieśniakowi i nachyliwszy się do pomarszczonej jego dłoni, serdecznie ją ucałował.

— Mój synu! — przemówił rozrzuwiony wieśniak — ne mogłem oczu oderwać od ciebie i od twojego ślicznego oficerskiego munduru, w którym cie po raz pierwszy widzę.

— Bóg mi pobłogosławił — odrzekł oficer — za dobrą służbę z sierżanta zaawansowano mnie na porucznika.

Kółko obecnych osób ze wzruszeniem patrzyło na młodego oficera, który się nie zawahał publicznie ucałować spracowaną rękę ojca w siermiędze.

Widział to zajście i sam wódz. Chcąc doraźnie nagrodzić cnotliwego syna, przywołał go do siebie i głośno mianował kapitanem.

A Pan Bóg, najwyższy wódz i kierownik całego świata, zapewne jeszcze wyższy awans i lepszą nagrodę przygotował mu w niebie.

Józef Grajner.

PACZKI.

Rodzice Zosi, Kazia i Zdzisia wyjechali na kilka tygodni do krewnych, a dzieci zostały pod opieką babuni.

Wprawdzie smutno im było w domu bez mamy i bez taty, ale babunia tak im dogadzała, tak ich pieściła... Co rano sucharek, lub ciasteczko leżały obok mleka, a na obiad bywały wyborne legominki.

Po obiedzie, jeżeli dzieci nie szły do ogrodu, z powodu zimna, lub słoty, babcia opowiadała bajki, których słuchano z zachwytem.

Pewnego razu Zdziś zachorował, przyjechał więc doktor i zapisał różne lekarstwa, a co najgorsze, nie pozwolił Zdzisławowi nic jadać oprócz rosołu i kleiku. Chłopczyk przyzwyczajony do przysmaków dopominał się o nie z płaczem, babusia więc na pociechę zawijała w papier sucharek, czy karmelek i wsuwała Zdzisławowi pod poduszkę, mówiąc:

— Schowaj sobie, na potem!

Niedługo Zdziś wyzdrowiał zupełnie i jadał już wszystko, mimo to jednak co wieczór upominał się o paczkę, a gdy jej nie znalazł pod poduszką zaczynał grymasić.

— Zachoruję! — wołał. — Nie zasnę przez całą noc! O, już mnie głowa boli!

Nie chcąc, żeby Zdziś budził Zosię i Kazię, babusia zawijała w papier jaki przysmaczek, to suszoną śliweczkę, lub gruszkę, czasem tylko kawałek cukru, a Zdziś uradowany, ciesząc się, że ma „coś dobrego” na jutro, zasypiał smacznie.

Po kilku tygodniach powrócili rodzice Zdzisia i zdziwili się bardzo, słysząc zaraz pierwszego wieczora płacz synka.

— Gdzie moja paczka? — szlochał malec — ja nie zasnę bez paczki...

— Tak! — powiedział tatko — nie możesz spać bez paczki? — Musisz mieć coś słodkiego pod poduszką?

— Muszę, muszę! — powtarzał Zdziś i płakał coraz głośniej.

— Ha, trudno! — odrzekł tatko — ale ponieważ babusia wyjechała, więc teraz ja będę ci paczki przygotowywał.

Uradowany Zdziś przestał płakać i zasnął zaraz, a rano wydobywszy paczkę z pod poduszki chciał ją rozwinąć, lecz tatko wstrzymał go.

— Nie, Zdzisiu — rzekł — będziesz dostawał codzień paczkę, lecz pod warunkiem, że rozwiniesz je dopiero w końcu tygodnia.

Zdziś, choć nie bardzo chętnie, zgodził się jednak na życzenie tatusia. Pogoda dnia tego była ładna, tak, że dzieci pobiegły zaraz do ogrodu i bawiły się tam doskonale do zachodu słońca.

Tak było przez dni kilka. Zdziś co wieczór dostawał do tatusia paczkę i chował ją do pudełka i na klucz zamykał. Nakoniec nadeszła sobota.

— Dzisiaj dowiem się, co jest w moich paczkach — mówił Zdziś z radością.

Popołudniu, ponieważ deszcz padał, trzeba było bawić się w domu, więc Zosia przyniosła farby i malowała obrazki, Kazio ustawiał żołnierzy i strzelał do nich ziarnkami grochu, a Zdziś wydobył swoje paczki i zaczął je rozwijać bardzo ostrożnie.

Lecz cóż to? Piasek, brzydki żółty piasek w jednej paczce, w drugiej kawałek surowego kartofla, a w trzeciej parę kamyczków. Nic więcej, żadnego przysmaczka!

Oj, śmiały się też z niego dzieci, śmiali się wszyscy, a biedny chłopczyk tak był zmartwiony i zawstydzony, że gdyby mógł, byłby się w mysią dziurę schował pewnie.

Od tego dnia Zdziś poprawił się z grymasów, sypia doskonale, o paczki z łakociami nie upomina się, jest zdrow i wciąż rośnie.

A.Sadowska.

DWIE FILIZANKI.

W kredensie stały dwie filizanki: jedna blaszana, druga porcelanowa; obydwie były białe, pomalowane w kolorowe kwiaty, ale porcelanowa filizanka uważała siebie za coś lepszego od blaszanej.

— Ja jestem biała od urodzenia i taka delikatna, że pod światło jestem zupełnie przezroczysta, a ty jesteś pomalowana, lecz naprawdę jesteś zwykłą blachą — mówiła porcelanowa filizanka do blaszanej.

— Tak, to prawda — odpowiedziała obrażona blaszana filizanka, — ale nie zapominaj o tem, że ja jestem mocna i trwała, a ty delikatna i łatwa do rozbicia. — Zobaczymy, która z nas lepiej skończy!

Porcelanowa filizanka nie rozumiała znaczenia tych słów i, co prawda, nie wiele sobie robiła z blaszanego opowiadania.

Następnego dnia wyjęto filizanki z kredensu i napełniono gorącym mlekiem. Blaszana filizanka dostała się maluchnej Zochnie, a porcelanową postawiono przed starszą siostrzyczką Helenką.

Helenka podniosłszy filizankę z gorącym mlekiem do ust i, sparzywszy się, z krzykiem wypuściła ją z rączki. Przestraszona Zochna również wypuściła swoją filizankę. Obydwie filizanki leżały na stole, a gorące mleko ściekało na podłogę.

Dziewczynki ze strachu krzyczały i płakały. Blaszana filizanka najpierwsza ochłoneła ze strachu. Przy upadku nic jej się złego nie stało. Porcelanowa filizanka leżała na stole rozbita w drobne kawałki.

— Była za delikatna i zanadto wrażliwa, a więc z przestachu rozleciała się na kawałki! — rzekła blaszana filizanka.

Ale biedna porcelanka nie słyszała słów sąsiadki, bo z niej tylko skorupki zostały.

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcji: **MACIERZ POLSKA,**
31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracji: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
Issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

„GWIAZDKA“ DLA BIEDNYCH.„Potąd dobrze, błogo na świecie,
Póki na ziemi matkę ma dziecko.“

Tak śpiewał polski nasz poeta, ks. Antoniewicz, a o tej prawdzie przekonywamy się dopiero wówczas, gdy nam nie stanie tego opiekuńczego anioła, którym jest matka. Dopokąd ona żyje, dziecko o nic się nie troszczy, bo ona o wszystkim myśli, wszystkim jego potrzebom wczas zaradza, o czym dobrze wiecie, mały czytelnicy. I wśród was są już tacy, których najdroższe osoby osierociły; smutno wam, ale wierzcie, że nieskończenie większy smutek od waszego zalega serca takich matek, które na myśl o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, na myśl, że w każdym prawie domu polskim ustroją ładną choinkę, u stóp której znajdzie się mnóstwo, często zbytecznych, zabawek, martwią się, że dzieciom swoim nie są w stanie nietylko sprawić choinki i podarunków wigilijnych, lecz nawet nie mają czem ich przyodzać i nakarmić. Dla wielu takich święta Bożego Narodzenia zamiast wesela i radości sprowadziłyby smutek i żal, gdyby na świecie nie było ludzi, którzy odczuwają dobrocią swego serca tę przykrość i według sił swoich starają się, aby w ten dzień wesela wszyscy, którzy na to zasługują, byli zadowoleni, aby wszystkim choć na chwilę w szarem ich życiu zaświeciła gwiazdka betleemska. Do takich właśnie należy miły i kochany nasz Słowik, znany czytelnikom M. P. z częstych listów do „Przyjaciela“, „Słowik“ nadesłał do Redakcji odezwę, którą poniżej w całości przytaczamy, dodając, że Redakcja M. P. z chęcią pośredniczyć będzie w tak dobrej sprawie. Przeczytajcież uważnie to, co pisze „Słowik“:

„Do małych czytelników M. P.“

„Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, które każdego z was napełniają wielką radością. Dużo dzieci myśli o nich z przyjemnością, ale jest też dużo takich dzieci, które z żalem i goryczą, może, w swych serduszkach o nich myślą. Wiedzą one, że gdy inne dzieci w ciepłych pokojach, pięknie ustrojone w nowe ubrania wesoło zasiadają do smacznej willi, po której bawić i cieszyć się będą przy choince, one marznąć będą w zimnych izdebkach i suterynach, nie mając co do ust włożyć, pozbawione wszelkiej, choćby najmniejszej przyjemności i uciechy. A takich dzieci jest bardzo dużo! Czyż tklive wasze serduszka nie wzruszą się ich losem, czyżbyście pozwolili, aby do ich duszyczek w tak uroczysty dzień zakradł się ten straszny wróg zazdrość? Więc starajmy się nie dopuścić do tego, przyczynmy się wedle możliwości naszej do tego, aby i te dzieci były zadowolone we święta Bożego Narodzenia. Łatwo to możemy zrobić, jeśli każdy z was, czytelnicy, przyśle do Redakcji Macierzy Polskiej, (31 Ingraham str. Chicago) choćby mały datek ze swoich oszczędności, jako ofiarę na gwiazdkę, którą dla biednych polskich dzieci od lat już kilku urządza „Tow. Dobr. pod op. św. Elżbiety“ i któremu też Redakcja M. P. wręczy otrzymane datki. Przy dobrej chęci z waszej strony znajdzie się i na cukierki dla was, i na Macierz Polską i na gwiazdkę dla biednych dzieci, a najmniejszy nawet datek w tym celu Pan Jezus wszystkim wynagrodzi.

Mam nadzieję, że Red. M. P. nie pogniewa się na mnie, że osmieliłem się obarczyć ją nową tą pracą i proszę wręczyć Tow. Dobr. na gwiazdkę dla ubogich dzieci jednego dolara, który sobie zaoszczędziłem, a który załączam w niniejszym liście. — „Słowik“ ze szkoły św. Stanisława Kostki w Chicago.

— Nie, kochany Słowiku, za okazanie dobrego serduszka nikt się nie może gniewać, owszem, jako już zaznaczyliśmy, Red. M. P. z chęcią będzie pośredniczyła w zbieraniu ofiar na gwiazdkę dla ubogich dzieci, w imieniu których Redakcja dziękuje ci za tak szczerą i pierwszą ofiarę, która stanowi całą twoją oszczędność.

NIEGRZECZNY LUTEK.

Staś, Adaś, Helenka i mały Janeczek,
Bawią się wesoło, ładnie i bez sprzeczek,
Lecz niechno się Lutek między nich dostanie,
Powstaną wnet skargi, płacz i narzekanie,
Bo Lutek każdemu coś powie niebacznie,
I zaraz to klócić, to spierać się zacznie.
Każdy go też za to omija, unika,
Bo któżby mógł lubić takiego chłopczyka?
Lecz on się poprawi, o! poprawi przecie,
Bo mu źle i smutno nie było na świecie.

Miś w obrotach.

Dawni naturaliści zwali niedźwiedzia małą północy. Biorąc pod uwagę pojętność tego zwierza, łatwość z jaką sobie rzeczy nie będące w jego naturze przyswaja, owo chodzenie na tylnych łapach,

Dawniej układaniem niedźwiedzi oprócz Cyganów, których było to rodzajem rzemiosła, trudnili się i sławetni mieszczanie miasteczka Smorgonia na Litwie, wieśniacy wsi Skomoroch na Rusi. Dla tych



co w niektórych przypadkach i na wolności używa, jest podobnym nieco do mały.

Niema prawie zwierzęcia, oprócz słonia, któreby łatwiej od niedźwiedzia wyuczyło się przeróżnych sztuczek.

przyczyn hecmistrzów niedźwiedziach przezywano "Skomorochami" lub "doktorami akademii Smor-gońskiej". Ta hecarnia w Smorgoniu dla żartu prze-zwana akademią, sławną się stała w Polsce, przez Pszonkę, twórcę rzeczypospolitej Babińskiej, który

niejednemu, chcącemu pozować na uczonego, głupcowi nadawał tytuł "doktora akademii Smorgońskiej."

Jakim sposobem, przed wiekami w Smorgoniu i Skomorach udładowano niedźwiedzi? Czyniono to w następujący sposób: najprzód starano się głosem, lub kijem skłonić ucznia swego do spięcia się na tylne nogi. Gdy jednak adept nie mógł, lub z natury uparty, nie chciał pojąć sztuki, którą mu wykładano, wzbraniał się stawania na tylnych „stopach”, podkładano pod podłogę szopki ogień. Rozpieczniona podłoga zmuszała niedźwiadka, w celu ochrony bosych łap przednich od opieczenia, stawania na tylnych obutych nogach.

Chcąc nie chcąc, ruszał „miś” w taniec, przebierając nogami w takt piszczałce i bębenkowi, odzywającym się w czasie tego tańca śród ognia. Dźwięk podobnej muzyki na całe życie pamiętnym się stał niedźwiedziowi. Skoro bowiem w czasie swych późniejszych artystycznych wędrówek zasłyszał tę nieharmonijną kapelę, wnet bez komendy nawet, stawał na tylnych nogach i ruszał w taniec.

Jakkolwiek niedźwiedź, osobiście wychowany wśród ludzi od szczeniństwa, do tego stopnia się oswoja, że nie upięty na łańcuchu wśród domowników chodzi i nie ucieka, nigdy mu jednak zbyt niedowierzać nie można.

By osądzić właściwy charakter niedźwiedzia, mocno podrażnionym widzieć go potrzeba, np. na łowach. Wtedy dopiero występuje w swej właściwej postaci. Straszny to zwierz. Niezgrabność je go o pozorna tylko. Broniąc się od „złai” opadłych go psów, opędza się przednimi łapami. A gdzie uderzy, to jak mówią: „Nie mucha usiadła.” Kości druzgocze, lub rozrywa ciało swymi dużymi pazurami. W kniei, gdy nie podrażniony, lub nie raniony, tchórzy przed człowiekiem, lecz biada myśliwemu, gdy go zranił strzałem, nie ubijając na śmierć: na ten czas obcesem rzuca się i rozdziera, bo wiadomo siłacz zeń niepospolity.

Na obrazku widzimy niedźwiedzia walczącego z psami, którego opadły. Scenę tę w Beskidach tak opisuje naoczny świadek:

„Niedźwiedź olbrzymich rozmiarów, opadnięty przez ośm brytanów, zajądło bronił się przed ich napadem. Wyrwawszy z korzeniami młodego buka, „młyńca” nim wywijając, niby żebrak w wąskiej ulicy, opędzał się od atakującej „złai” psów.

Któreś psisko zawziętsze, niezważając na gęste razy buczkiem, przyskoczywszy do niedźwiedzia, pragnęło go pochwycić za gardło. Niedźwiedź, wypuściwszy buczka, przednią łapą łomotnął zucha po grzbiecie. Skowytawszy żałośnie, legło psisko martwe. Znalazł się i drugi śmiać pomiędzy złają: nie widząc groźnego buczka w łapach misia, pod-

bierawszy, szarpnął bok jego kosmaty. Pozornie niezgrabny niedźwiedź, szybko jak błyskawica w stronę psa się zwróciwszy, porwał go jedną łapą, tuląc, niby piastunka dziecicę. Od uścisku tego pies skonał.

Jedną łapą martwego już psa pod pachą trzymając, drugą wolną, gęste rozdawał razy pomiędzy resztę złai.

Naraz, słyszymy dwa szybko po sobie następujące strzały. Niedźwiedź ryknął straszliwie, — dawszy wysokiego susa w powietrze, wypuszczając ujętego psa ze swych śmiertelnych uścisków, sam martwy runął na ziemię. Wnet pokryła go reszta złai psów, szarpiąc go zajądło. Zapatrzeni w tą śmiertelną walkę, nie uważaliśmy zjawienia się myśliwego, który celnymi strzałami trupem położył walecznego misia.

Niedźwiedź chociaż nieuczony w niektórych wypadkach, staje na tylnych nogach, przednich „łap” zręcznie niby rąk używając, do opędzania się przed psami, lub wilkami, jeśli go głodem ciśnięte zaatakują celem pożarcia. W braku młodszych drzew, które z korzeniami wyrwa, chwytając, co napotka: kamienie większych rozmiarów, polana drzewa, ustawionego w sági, rzucając tem na napastników.

Przekonany jestem, że ów „miś”, gdyby nie strzały śmiertelne, wyszedł byłby z owych obrotów zwycięsko. Ośm, jakkolwiek dużych i zajądłych brytanów, zamało do pokonania takiego siłacza.”

PSZCZOŁY.

„Poco biedzisz się tyle — męczysz w pocie czoła?”
Rzekła do starszej siostry pewna młoda pszczoła.

„Ty ciągle skrzętnie brzęcząc, liczne zwiedzasz kwiatki,

„Nim odrobinę miodu zaniesiesz do matki!

„Ja ssie wszystko z kwiatuszków — nie jak ty — potrosze,

„Przekonasz się, że więcej do ula naznoszę!...”

Na to rzecze jej strasza: — Nowa twoja moda!

— Zaraz poznać z twej mowy, jakaś jeszcze młoda!

— Nie wiesz, że w wielu kwiatkach i jad znaleźć można?

— Ej radzę ci, siostrzyczko, szczerze: bądź lepiej ostrożna! —

„Nie trzeba mi twych nauk!” gniewnie odrzuciła Młodsza i do pasieki chyżo pogoniła.

By chwalić się przed matką, z swej wielkiej pilności,

Nagle w drodze okropne chwytają ją młdości!

Wnet siły utraciła — tak swój błąd odczuła,

Bo miodu nie zrobiła — a jadem się struła!... —

K. Wachtel.

➤ BEZ RODZINY. ➤WEDŁUG POWIEŚCI
H. MALOTA.

Ciąg dalszy.

— A teraz do pracy! Jutro damy tu pierwsze przedstawienie, w którym i ty wystąpisz. Trzeba więc, żebyś nauczył się swej roli.

— Ależ ja wcale komedyi grać nie umiem i nie wiem nawet co to znaczy rola! — wykrzyknąłem przerażony.

— Właśnie dla tego, że nie masz o tem wyobrażenia trzeba, żebyś się tego nauczył — odrzekł Witalis. Czy sądzisz, że Kapi od urodzenia umiał już tak zgrabnie chodzić na tylnych łapach, a Zerbino skakać przez sznurek? Wierzaj mi, że pracowali oni wiele i długo, ażeby stać się zręcznymi komediantami. Tak samo i ty powinienes pracy dołożyć. Pierwszą sztukę nazwiemy: „Sługi pani Magdy, czyli, który z dwóch jest głupszym?” Treść będzie następująca: Pani Magda miała dotychczas służącego Kapi, z którego była bardzo zadowolona, ale Kapi starzeje się i pani Magda chciałaby zmienić służącego. Sam Kapi przyprowadza swego zastępcę, ale tym razem nie będzie to już pies, lecz większy chłopczyk, imieniem Remi.

— Taki, jak ja? — spytałem.

— Ale nie taki, jak ty, tylko ty sam nim będziesz — odpowiedział Witalis. Przybywasz ze swej rodzinnej wioski, aby wejść w służbę pani Magdy.

— Ależ małpy nie miewają służących! — odezwałem się obrażony.

— W komedjach miewają — odpowiedział Witalis, i ciągnął dalej. — Otóż pani Magda przekona się, że Kapi daleko zręczniej potrafi usłużyć, niż ty.

— Ta komedia nie jest wcale zajmującą — rzekłem.

— Przecież to wszystko się robi tylko dla rozśmieszenia publiczności. Oto, zobaczymy, jak sobie poradzisz z nakryciem stołu.

I wskazał mi stolik, na którym znajdowało się parę talerzy, widelec, nóż, łyżka, obrus i serweta. Wszystko to leżało złożone jedno na drugim, a ja nie wiedziałem, jak się mam zabrać do nakrycia stołu. Stałem więc nieradny z opuszczonemi na dół rękami i z niezbyt zapewne mądrą miną.

Witalis śmiał się głośno i mówił uradowany.

— Dobrze! doskonale! Tak właśnie chciałem, żeby wyglądał służący pani Magdy.

Wstępujesz w służbę małpy i okazuje się, że jesteś od niej znacznie głupszy, na tem ma polegać cały efekt sztuki.

Sztuka „Służący pani Magdy” mogła być odegraną w przeciągu kilku minut, ale wyuczyć się jej,

musieliśmy stracić pół dnia czasu. Witalis ustawiał zwierzęta, pokazywał im ich czynności po tysiąc razy. Podziwiałem przytem jego niewyczerpaną cierpliwość. U nas na wsi przyzwyczałem się widzieć, że bicie i klątwy były całą nagrodą za wierną służbę psa. Witalis przeciwnie, obchodził się z nimi tak łagodnie, jak z ludźmi. Ciągłe przemawiał do nich, ruchami wskazując im to, co mają czynić i doszedł do tego, że psy rozumiały jego mowę i robiły wszystko, czego od nich zapragnął. Gdym rozmawiał o tem z moim opiekunem, ten mi odpowiedział: — Łagodnością, nawet ze zwierzętami można więcej dokazać, niż surowem obchodzeniem się.

Nazajutrz miałem poraz pierwszy wystąpić przed publicznością. Moi towarzysze: psy i małpa, nic sobie z tego nie robili, bo dla nich było to tylko powtórzeniem codziennych prawie przedstawień. Ja zaś przeciwnie, obawiałem się ogromnie mego pierwszego występu. Strachem napełniła mnie myśl, że zagram źle, że Witalisowi zrobię tem przykrość.

Nawet w nocy myśli te nie dawały mi spokoju; nie zasnąć; nazajutrz zaś, gdy wyszliśmy z gospody, gdzieśmy noc spędzili, dla odegrania naszych sztuk, serce mi biło gwałtownie.

Witalis szedł przodem, z głową wysoko wzniesioną, z piersią podaną naprzód: postępował on w takt walca, którego wygrywał na mosiężnym flecie. Za nim podążał Kapi, na grzbiecie którego siedziała pani Fryga, cała w stroju generała, z czerwonym ze złotemi ozdobami, pióropuszem na kasku. Zerbino i Dolcze postępowali za nią, ja zaś zamykałem pochód.

Przenikliwe dźwięki muzyki rozlegały się po wąskich uliczkach miasta i przenikały do domów, w których podnosiły się firanki u okien i otwierały się drzwi, a na progu stawali zaciekawieni mężczyźni, kobiety i dzieci.

Niektórzy z widzów poszli za nami, tak, że zanim doszliśmy do placu, na którym miało się odbyć nasze przedstawienie, wielka gromada ludzi otoczyła nas zewsząd.

Jedynem przygotowaniem do rozpoczęcia przedstawienia, było przeciągnięcie sznura pomiędzy 4-ma słupami.

W czworokącie, zakreślonym przez sznur, umieściliśmy się: nas 2ch ludzi i czworo zwierząt.

Przedstawienie zaczęło się od sztuk, jakie wykonywały psy przy dźwiękach muzyki. Serce tak mi biło gwałtownie ze strachu, że nic nie widziałem, co się dzieje dokoła mnie, zauważyłem tylko, że Witalis zamienił flet na skrzypce i na nich przygrywał do tańca!

Ludzi napływało coraz więcej, otaczając miejscą zakreślone sznurem.

Następnie Kapi schwyciwszy w zęby skarbonkę, obchodził dokoła sznura, odbierając zapłatę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONICZKA TYGODNIOWA.

2 grudnia.

W Washingtonie nastąpiło w południe otwarcie Kongresu St., Z.

W Pittsburgu wśród zgromadzonego tłumu Rusinów na dworcu Union w celu przywitania unickiego biskupa, ks. Ortyńskiego powstała z niewiadomej przyczyny ogromna panika, która jednak na szczęście nie miała złych następstw.

Z Norfolk, Va. wypłynęło sześć okrętów wojennych, jako przednia straż floty amerykańskiej, udającej się na ocean Spokojny.

We Lwowie. — Galicya. — Polacy urządzili wielkie zgromadzenie, demonstrujące przeciw Prusakom z powodu haniebnego ich projektu o wyłączeniu Polaków.

3 grudnia.

We Władywostoku. — Syberya. — Sąd wojenny skazał 27 marynarzy na karę śmierci za bunt, o którym niedawno donieśliśmy.

4 grudnia.

W Nowym Yorku najwyższy trybunał zdecydował, że wszelkie zabawy i przedstawienia po teatrach i ogrodach stanowczo są zabronione w niedzielę.

5 grudnia.

Prezydent Roosevelt na prośbę senatora Sparksa ze Stanu Nevada rozkazał, aby wojsko wystąpiło przeciw górnikom w tym Stanie, którzy w całej okolicy burzą się i mordują urzędników kopalń.

Gazety chicagoskie rozpisują się o bardzo nędznym stanie szkół publicznych. Członek rady szkolnej, p. Whit urządził egzamina w szkołach publicznych i ku zdumieniu i wstydom tych wszystkich, co się zachwycali szkołami publicznymi, a potępiali parafialne, ogłosił, że sposób nauczania w szkołach publicznych jest jak najgorszy, a rezultaty jego są opłakane. Na dowód tego przytoczył, że w pewnej szkole, w ósmej klasie, ani jedno z dzieci nie potrafiło rozwiązać takiego zadania arytmetycznego, które, jak piszący sam się przekonał, dzieci z szóstej klasy polskich szkół wykonały w ciągu 7 i pół minuty, a dzieci z 8 klasy — prawie natychmiast po zadaniu. Podobne stosunki panują we wszystkich szkołach publicznych. Z egzaminu pokazało się też i to, że nawet Wyższe Szkoły (High Schools) nie lepiej stoją od normalnych i że uczniowie poprostu nie umieją angielskiego języka. Z zadanych bowiem do sylabizowania przez tego pana 20 słów bardzo łatwych i najczęściej używanych uczniowie z tych szkół zaledwie kilka umieli sylabizować. Wstyd to dla szkół publicznych, ale daleko większy wstyd i hańba dla takiego nap. pana Michała Kruszki z Milwaukee, który publicznie w obec Amerykanów potępił polskie szkoły, jako sięjące ciemnotą i zacofanie, a pod niebiosami wyniósł szkoły publiczne.

W Petersburgu. — Rosya. — Amerykański minister wojny p. Taft był u cara, z którym przepędził kilka godzin na rozmowie. P. Taft wraca, niebawem do kraju z długiej swej podróży.

Ze Stockholmu donoszą, że król szwedzki, Oskar, z powodu złego zdrowia złożył rządy kraju w ręce swego następcy tronu, Gustawa.

Próby, robione przez kolej Pennsylvaniji w Clayton, N. J., wykazały, że lokomotywy parowe w szybkości przewyższają lokomotywy elektryczne.

7 grudnia.

W Monongah, W. Va., przeszło 400 robotników zostało zasypanych i zawałonych w szybie kopalni węgla. Okropna ta katastrofa spowodowana została wybuchem miazgi węglowej. W kopalni pracowali prawie sami Włosi i Słowacy. Kopalnia należy do spółki Consolidated Coal Co.

W ubiegłym tygodniu pomimo poprawy finansowego Stanu w kraju zanotowano jednak kilka upadków mniejszego stanu w kraju zanotowano jednak kilka upadków mniejszego.

Z Rosji doniosły telegramy o napadzie bandytów na prawosławny klasztor mnichów w pobliżu Pskowa. Zakonnicy dzielnie się bronili i przy pomocy wojska, które nadszedło zaalarmowane, zdolali odeprzeć napad.

8 grudnia.

Król szwedzki, Oskar II, zmarł w Stockholmie.

KOGO KOCHAĆ?

Kogo masz kochać, dziecino droga,
Pytasz mię, patrząc ciekawie?
Oto nasamprzód dobrego Boga,
Który cię stworzył łaskawie.

Kochaj Go w gwiazdce, co z niebios świeci
W całym tym świecie widomym,
W zielonej trawce, w śnieżnej zamieci,
W każdym robaczku znikomym.

Kochaj serdecznie mamę i tatka
Najgłębszą dziecka miłością;
Oni nad tobą w dziecięce latka
Z taką czuwalili troskliwością.

O! za wylane te łzy matczyne
Przy twej pościółce dziecięcej,
Mateczce swojej, dziecię jedyne
Winność miłości największej.

Kochaj rodzeństwo: siostry i braci,
I tych, co sercu są bliscy,
A czy ubodzy, czy to bogaci,
Wszak braćmi sobie my wszyscy.

Tego biedaka, co stoi w progu,
I tę sierotkę znędzniałą
Kochaj miłością pierwszą po Bogu,
I braćmi nazwij ich śmiało.

Bo kto przytuli biednych, nędzarzy,
Sierotkom otrze łzy skrycie,
Tego Bóg łaską swoją obdarzy
I wynagrodzi sownie.

Zresztą dla wszystkich, luba dziecino,
Z jedynakiem sercem być trzeba:
Bo równie tobą, jak i ptaszyną,
Bóg opiekuje się z nieba.

W. Bełza.

ZAGADKI.

SZARADA.

Pierwsza sylaba, to miesiąc w roku,
Pełen powabu i pełen uroku;
Druga, to przyrząd, który wciąż na straży.
Prowadzi okręt, a w nim marynarzy.
Razem zaś tworzą człowieka przezwisko,
Który w swym fachu ideału blisko.

ZAGADKA.

Ma siedlisko w głowie,
Objawia się w mowie.
Czem jest? Jak się zowie?
Każdy z was niech powie.

ZAGADKA SYLABOWA.

nadesłana przez Alojzego Pięcha ze szk. ś. Stan. K. w Ch.

Z następujących sylab: ra — gó — tve — le — kal
— mar — dras — sza — ma — taw — da — ga — ka —
do — na — la — dy — ny — ark — wa — new — ton —
san ułożyć dziesięć wyrazów sześciogłoskowych, w któ-
rych litery oznaczone ? dadzą tytuł jednego z dzieł Sewe-
ryny Duchinińskiej.

Znaczenie wyrazów:

- 1 ? miasto w Ohio;
- 2 . ? mieszkańcy gór;
- 3 . . ? morze w Azji;
- 4 . . . ? . . . zwierzę drapieżne;
- 5 ? . . miasto w Indjach;
- 6 ? Imię męskie;
- 7 ? . . posiadłość kol. ang.;
- 8 . . . ? . . . jezioro w Rosji;
- 9 . . ? miasto w N. Jersey;
- 10 . ? pokrycie na podłogę.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK Z NR. 48.

Szarada: Pa — no — ra — ma.

Zagadki: 1. grudzień, 2. snop.

Lamigłówka sylabowa: Janina, adamaszek, noga, ko-
per, Odra, cukier, Hamburg, Asnyk, narcyz, ogniwo, Wan-
da, sowa, kangur: Jan Kochanowski.

Dobre rozwiązania nadesłali. Wanda Kłos z Milwaukee
i Alojzy Pięch z Chic.

Chicago, Ill.

Kochany Przyjacielu!

Przeczytawszy list Marcelego Rosynka, duszą jestem
jego przyjacielem. Przyjacieli zapewne pamięta jeden z
moich pierwszych listów, w którym prosiłem czytelników
Macierzy Polskiej, aby nadsyłać opisy obchodów, do tegoż
pisemka. Teraz spełni się moja prośba. Gdy czytam takie
opisy, zdaje mi się że jestem na obchodzie i widzę i sły-
szę to wszystko, co autor opisuje. Niecierpliwie będę też
wyczekiwał następnego listu Marcelego.

My nie będziemy mieli bardzo uroczystego obchodu
listopadowego, gdyż nie uczymy się w szkole i kto wie,
kiedy się będziemy w szkole uczyli, ponieważ robotnicy
strajkowali przez kilka tygodni. Jednakże nie zapomnimy
pomodlić się za dusze poległych powstańców.

Zgodnie z życzeniem Przyjaciela załączam wypracowa-
nia o Piotrze Skardza kilku kolegów i moje. Pozdra-
wiam serdecznie kochanego Przyjaciela i mojego małego
przyjaciela Marcelego z Milwaukee.

Twój

Słowik (Jan Burda) ze szk. św. Stan. K.

Chicago, Ill.

Kochany Przyjacielu!

Bardzo mi się spodobały liściki w ostatnim numerze
M. P., a szczególnie liścik Lili. Ja też czytam z uwagą
powieść „Bez Rodziny“, i byłam pewna, że to mały Remi,
gdy dorósł, sam o swoim dzieciństwie pisał; czekałam tyl-
ko, aby się dowiedzieć, jakim sposobem doszedł do takiej
nauki, że mógł sam o sobie pisać.

Teraz kilka słów do Lili. Ja jeszcze nie jestem taką
Lilią, jak ty, kochana Lilio, lecz jestem jeszcze małą Li-
lijką. Atoli moim zdaniem w tem, nie tak wielka różni-
ca, i pewna jestem, że Lilia z Lilijką kochać się mogą.
Prawda kochany przyjacielu.

Lilijka.

(Wikcia Ziółkowska) ze szk. św. St. K.

Cleveland, O.

Drogi Przyjacielu!

Słyszając kilka ładnych liścików z Macierzy Polskiej,
które nam nasza Siostra nauczycielka czytała, postanowi-
łem także do Ciebie, kochany Przyjacielu, list napisać.

Ja chodzę do szkoły św. Kazimierza. Uczą nas Wiel.
Siostry Franciszkanki z Chicago.

Jestem w piątej klasie, uczę się rano po polsku, a
po południu po angielsku.

Cała nasza klasa należy do chóru. Śpiewamy w koście-
le trzy razy w tygodniu. Przewiel. ks. Ignacy Piotrowski
jest naszym kochanym proboszczem. Często odwiedza na-
szą klasę, zachęca nas do nauki i opowiada nam różne po-
żyteczne rzeczy.

Teraz opowiem coś Przyjacielowi o mieście Cleveland
i o Stanie Ohio. Miasto Cleveland jest położone nad je-
ziorem Erie, przy ujściu rzeki Cuyahoga. Cleveland posia-
da dużo pięknych drzew. O jeden blok od naszej szkoły
jest piękny park, nad brzegiem jeziora. Stan Ohio ma
41,000 mil kwadratowych. Podczas gdy 30 Stanów ma
większy obszar ziemi, trzy tylko stany mają więcej ludno-
ści. Stan Ohio posiada dużo węgla i żelaza. Ma także bar-
dzo dobry grunt do uprawy.

Zostaje z uszanowaniem

Bolesław Łączyński.

Chicago, Ill.

Kochany Przyjacielu!

Po raz pierwszy piszę do Ciebie, kochany Przyjacielu.
Jestem uczniem 8mej klasy, szkoły św. Stanisława Ko-
stki, i stałym czytelnikiem Macierzy Polskiej. Lubię czy-
tać liściki, powiastki i bajki, lecz najlepiej lubię czytać o
wojnach i o wielkich czynach sławnych bohaterów pol-
skich. Czczytelnie podoba mi się piękny czyn Leszka Bia-
łego, poprzednio opisany w Macierzy Polskiej, kiedy powie-
dział, że „nad blask, co berło udziela, wyżej cenię przyja-
ciela“. Czytając liściki w tem pisemku, postanowiłem tak
że napisać do kochanego Przyjaciela, ale pod imieniem Le-
szka Białego, aby zapamiętać, że mi nie wolno opuszczać
Przyjaciela. Czy się Przyjacielowi podoba mój pseudonim?
Niedługo też będzie Boże Narodzenie, a dzień przed tem
będzie rocznica spalenia naszej szkoły. Myślę nieraz, kie-
dy pójdziemy do nowej szkoły? Wszyscy tęsknimy za
szkołą, bo kościół i hale to nie nasze dawne, piękne klasy.

Przysyłam Przyjacielowi najlepsze życzenie i pozostaję z uszanowaniem,

Twym małym przyjacielem
Leszek Biały.

Cleveland O.

Drogi Przyjacielu!

Pierwszy raz ośmielałem się napisać list do Ciebie, drogi Przyjacielu. Ja chodzę do szkoły św. Kazimierza, mam 10 lat i jestem w piątej klasie. Uczy nas Siostra M. Leona po polsku i po angielsku.

Ze wszystkich angielskich przedmiotów, których się uczymy, najbardziej lubię rachunki. Kilka dni temu kilkoro dzieci z naszej klasy wraz z naszą Siostrą nauczycielką byliśmy w parku na przechadźce.

Zabawiliśmy się tam bardzo ładnie, nzbieraliśmy rozmaitych liści a potem powróciliśmy do domu. Muszę też powiedzieć kochanemu Przyjacielowi tę smutną wiadomość, że ja już nie mam mamy, która już umarła. Mam starszą siostrę, która w domu gospodarzy, ale mnie jest nierzadko bardzo smutno i czasem sobie zapłaczę, gdy sobie wspomnę mamę.

Teraz pozdrawiam kochanego Przyjaciela i zostaję
P. Mroziński.

ODPOWIEDZI.

Słowikowi. Przyjacieliu dobrze pamięta twoje listy i sądzi, że z czasem spełni się nasze życzenie i mali korespondenci będą nadsyłać opisy jużto obchodów, jużto różnych wydarzeń, dziejących się w ich szkole. Będzie z tego i ta wielka korzyść, że wśród małych czytelników M. P. z różnych szkół polskich nawiąże się duchowy stosunek, jakby nie wspólnej łączności i przyjaźni. Ćwiczenia wasze „P.” przeczytał z przyjemnością, są one dobrze i treściwie napisane. Za pozdrowienie „P.” dziękuje i nawzajem takowe zasyla.

Bol. Łączyńskiemu. Bardzo to ładnie z twojej strony, że postanowiłeś napisać list do „P.” i napisałeś. „P.” ucieszył się z tego i sądzi, że częściej zrobisz i wykonasz podobne postanowienie, sprawisz tem czytelnikom M. P. wielką przyjemność.

P. Mrozińskiemu. Biedny jesteś, mały mój przyjacielu, współczuje z tobą. Widać, że ci bardzo smutno bez mamy i że ją kochałeś. Patrzy ona na ciebie i cieszy się, widząc że starasz się nie zapominać o niej. Pamiętaj o niej codzień przy paciorku i staraj się być dobrym, a to ci przyniesie pociechę. Za pozdrowienie „P.” dziękuje i wzajemnie tak ciebie, jak i inne dzieci z waszej szkoły pozdrawia. „P.” zna waszą szkołę i dzieci tamtejsze bardzo lubi, bo są grzeczne. Piszcie częściej.

Lilijce. Widać, że, Lilia ze szkoły św. Jadwigi nie na próżno pisała swój list, jednych zachęciła do pisania listów, innym sprostowała pojęcia. Ucieszy się ona z tego. „P.” nie widzi przyczyny, dlaczego Lilia z Lilijką nie miały się kochać, owszem pragnie on tego, aby między dziećmi różnych naszych szkół zapanował taki serdeczny stosunek i cieszy się z tego, że może w tem pośredniczyć.

Leszkowi Białemu. „P.” mile wita Leszka Białego wśród swoich małych przyjaciół i korespondentów. Piękny to pseudonim, staraj się jednak, Leszku aby ten pseudonim odpowiadał rzeczywistości; nie wystarczy bowiem lubić czytać o wielkich czynach sławnych ludzi, ale wedle możliwości i okoliczności trzeba je też i naśladować. Cnota Leszka, o której wspominałeś, nie jest trudną do naśladowania.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI POŁNOOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str.

Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; **Julian Szczepański,** Prezes; **Agnieszka Nering, I** Wice-prezesa; **Maksymilian Brochocki, II** Wice-prezes; **Wincenty J. Jóźwiakowski,** Sekretarz Główny; **Władysław Sztanka,** Skarbnik; **Paweł P. Kucharzski,** Dyrektor; **Julian J. Nejman,** Dyrektor; **Feliks Augustynowicz,** Dyrektor; **Franciszek Siatkowski, I** Marszałek; **Jan Szpekowski, II** Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; **Dr. Bolesław Klarkowski,** Lekarz Główny; **Ludwik Jankowski,** Dyrygent Muzyki i Śpiewu; **Teofil Gordon,** Asystent Sekretarza Głównego; **Ignacy Ciesielski,** Bibliotekarz i Zarządca Klubu; **N. L. Piotrowski,** Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza Głównego w Biurze Generalnem: W każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem; Skarbnika: W każdy poniedziałek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 3-ej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 46 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równy wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

DO SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW MACIERZY POLSKIEJ.

Administracja Macierzy Polskiej uprasza Szanownych prenumeratorów do nadsyłania prenumeraty za „Macierz Polską”. Zarząd poczty ustalił nową regułę zmuszając wydawców do wykreślenia z liczby każdego czytelnika który nie ma gazety opłaconej z góry, dlatego upraszamy o nadsyłanie takowej; w razie przeciwnym będziemy zmuszeni każdego nieopłaconego prenumeratora wykreślić z listy.

Prenumeratę należy nadsyłać pod adresem

Macierz Polska, 141-143 W. Division str., Chicago, Ill.

PODAJCIE NOWE ADRESA.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić swych sekretarzy protokółowych o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali „Macierzy” regularnie.

Przy zmianie adresu należy podać dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć numer Oddziału i numer książeczki podatkowej.

Zarząd Główny.

OGŁASZAJCIE SIĘ
W MACIERZY POLSKIEJ.**N. L. PIOTROWSKI**
ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Pokoje 207, 3e piętro. Tel. Central 633.
Wieczorem 606 Noble ul. Tel. Monroe 2427
Mieszk. 30 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1864

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup towarzyszy i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,
właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,
685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

NADZWYCZAJNY PODATEK
NA POŚMIERTNE.

CYRKULARZ Nr. 30.

Na miesiąc grudzień r. 1907, wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc grudzień roku 1907 przypada podatek Nr. 30 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go października 1907 r., wynoszący trzydzieści centów, na pokrycie pośmiertnego:

Wypadek Nr. 46 śp. Helena Bojan, Odd. 12, Suma \$470.00.

Zwracam uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być niezwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Z braterskiem pozdrowieniem
Winc. Józwiakowski,

Sekretarz Główny.

Chicago, 30 listopada, 1907 r.

Zamawiajcie Fotografie.

Kto chce posiadać fotografię swoją w grupie swego oddziału, niech się zgłosi niezwłocznie do galerii Kościuszkowskiej i poda swe zamówienie wraz z umówioną opłatą 50 centów.

Wincenty J. Józwiakowski,
Sokr. Główny.

ADMINISTRACJA NA ROK
1908:

Oddział 2gi św. Michała Archanioła na Stanisławowie.

Prezes, Jan Niemiec.

Kapelan, Przew. Ks. Fr. Gordon.

Wiceprezes, Michał Błażek.

Lekarz, Dr. Bol. Klarkowski.

Sokr. prot. Jan Smorowski, 159

Cortez str.

Sokr. fin. Wł. Janicki.

Skarbnik, Hieronim Szczodrowski

Radni: Piotr Przybylski, Antoni Kortas, Stanisław Koenig.

I-szy marszałek, Fran. Goms,

II-gi marszałek, Ig. Szczukowski.

Opiekun chorych, And. Tworek.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI.
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, jest nakłady całe lub pojedyncze, jako książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach miarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.**Lecznica Krakowska,**

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączką powietrzem, Wibracją, Elektryką, Masowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami siłowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1020.

Właściciel Zakładu.

**DZIENNIK
CHICAGOSKI**

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8m1u wielkich stronkach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościeleci egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez
Money Order lub w jednocentowych znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie drukarskim wchodzące, szybko, gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy przysyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

NAGRODY

dla Członków i Członkiń pracujących nad powiększeniem szeregów Macierzy Polskiej.

NAGRODA PIERWSZA:

Za dziesięć nowych członków lub członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn).

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem „Hołd zasłudze” na przodzie, a nazwiskiem odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty medal z naszym godłem, w formie breloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym

na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba,

NAGRODA DRUGA:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Śliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

NAGRODA TRZECIA:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Z LITWY.

Zamknięcie szkoły ludowej. Z rozporządzenia kuratora okręgu naukowego zamknięta została szkoła ludowa w Chomenczynach z powodu odmowy gminy co do udzielania środków na utrzymanie i pensję dla nauczyciela.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgłście się do nas my wam najlepiej służymy

A. J. Kowalski & Sons,
625 Noble ul., Chicago.
JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członków
Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.
Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

FRANK KLAJDA
Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.
Wykonuje wszelkie roboty szybko, starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

JÓZEF KORZENIEWSKI,
Przedsiębiorca pogrzebowy i balsamator.
Wypotyca powozy na pogrzeby, ehrańdy, i t. p.
818 N. Carpenter ulica.
Telefon Monroe 945.
Otwarta w dzień i w nocy.

OGŁASZAJCIE SIĘ
W „MACIERZY POLSKIEJ”.

MY MA SAYS SHE WILL BUY
OUR GIFTS AT THE ARMITAGE.
SHE CAN DO BEST THERE
AND IT IS SO NEAR HOME.
P.2. PA SAYS MA IS WISE.

**EVERYTHING THAT
MEN AND BOYS WEAR.**

THE ARMITAGE
MILWAUKEE & ARMITAGE AVES.